

Jaki tam ze mnie prorok

Używam mowy wiązanej, mieszam ze sobą różne światy, miksuję je jak didżej i wypluwam z siebie pokiereszowane, często wykolejone zdania. To jest mój język, ale on nie jest ani poezją, ani rynsztokowym bełkotem. Taki sposób tworzenia najlepiej mnie wyraża, to moja maska, za pomocą której kontaktuję się z ludźmi – mówi MARCIN PRYT, wokalista 19 Wiosen, 11 i Trypa.

Łódzki zespół 19 Wiosen dawno przekroczył swoją „dziewiętnastkę”, a od czasu wydania własnym sumptem pierwszej kasety „Co każdą chwilę” minęły już 22 lata. Ostatni krążek „Cinema Natura” był czarnym koniem w plebiscycie Łódzka Płyta Roku 2014. Zaczynali od śpiewania coverów z repertuaru Piotra Szczepanika, Hanki Ordonówny czy Anny German. Szybko jednak przeszli do własnej twórczości i wyrazistych tekstów o wykolejonej składni.

Na początku było ich trzech, zaczynali pod pseudonimami: Henryk Ulik, Zygmunt Waleczny i Franciszek Maciak. W latach 90. uformowało się ich charakterystyczne brzmienie, które zawdzięcza gitarowo-syntezytorowym dźwiękom tworzonym przez Grzegorza „Fagota” Fajngolda (tego zawodowego organistę można było kiedyś spotkać na Piotrkowskiej w przebraniu Vivaldiego z doczepionym czarcim ogonem) i Franciszka Wicza, zjawiskowego gitarzystę. Byli znani z fascynacji mroczną stroną życia i czarnym humorem. Na plakacie zapowiadającym pierwszy koncert napisali o sobie „legendarna grupa 19 Wiosen”. Tak tworzyli wokół siebie szum. Poznali łódzkie squaty, szemrane towarzystwo, używki, wolną miłość – żyli rockandrollowo.

Teraz grają w pięcioosobowym składzie: Piotr Andrzejewski (gitara), Aleksander Gemel (gitara), Grzegorz Fajngold (organy), Łukasz Klaus (perkusja) i Marcin Pryt (wokal). Wciąż są punkami: – Mam już 44 lata i nadal są mi bliskie idee i postawy punk. Właściwie czuję się takim odpadem, społecznym mutantem, bo żyję w kulturze śmieci. Nie interesują mnie muzyczne mody. Myślę, że czeka nas los czarnych bluesmanów, którzy zawsze będą grali swoją muzykę, a bieżące trendy będą nas omijać – przyznaje Marcin Pryt. Po intensywnych muzycznie latach 90. formacja ucichła na jakiś czas. W milczeniu przeszła przełom wieków, a ponieważ nie doczekała się domniemanej apokalipsy, w 2004 roku wróciła z nowym materiałem. Reaktywacja wszystkim wyszła na dobre.

Każda płyta 19 Wiosen odzwierciedla jakiś etap życia zespołu. Albumy takie, jak „11 zim” „Piękno”, „Pedofil”, „Suweniry” czy „Pożegnanie ze światem” odcisnęły piętno na polskim punku. Krążek „Cinema Natura” (wydany nakładem Anteny Krzyku) został entuzjastycznie przyjęty przez środowisko muzyczne. Zadziorna, drapieżna muzyka i bezkompromisowe teksty niepokoją i nie pozwalają o sobie zapomnieć.

Wyrazisty charakter formacji nadaje jej lider Marcin Pryt, który ostatnio został doceniony „Punktem dla Łodzi” za emocje wywoływane muzyką i słowem, choć wokalista od dawna nie ekscytuje się recenzjami i konkursami. Nie lubi określeń, które łatwo wystukać na klawiaturze i z humorem przyjmuje opinie na swój temat. – Jaki tam ze mnie prorok apokalipsy – śmieje się. – Borykam się z problemami życia codziennego, muszę zarobić na bułkę z masłem. Proza życia. Nie fascynuję się też destrukcją, ale widzę, jak ludzie się nawzajem niszczą, sam też poddaję się temu procesowi, bo jest częścią natury. Kiedy przekroczy się własny Rubikon, coraz trudniej wytrzymać ze świadomością, że nie możesz włączyć ignorancji. Zasysasz tyle makabrycznych obrazów i czarnych wizji, że marzy się o tym błogosławieństwie. Dla nas twórczość jest sposobem odreagowania – dodaje.

Fani grupy z wypiekami na twarzach słuchają ostatniego albumu, a Wiosny nie próżnują. Marcin Pryt i Franciszek Wicz, który współtworzył 19 Wiosen, utworzyli teraz nowy zespół Projekt Mir i

przygotowali płytę pt. „Skrzydło motyle”. Teraz czekają na właściwego wydawcę – albo udostępnią całość za darmo w sieci.

Marcin Pryt jako wnikliwy obserwator opisuje otaczających go ludzi i miejsca. Choć w piosenkach wyraźnie słychać łódzkie tropy rodem z mrocznych kamienic i podwórek, autor odżegnuje się od osobistych i lokalnych konotacji, zaznaczając, że nie śpiewa tylko o lodzermenschach, ale ma nadzieję na bardziej uniwersalne przesłanie. Marcin pisze od dziecka, wcześniej do szuflady, teraz pomysły nagrywa na dyktafon. Przyznaje, że mama polonistka do tej pory sprawdza czerwonym długopisem interpunkcję jego tekstów. Rozmawiają i dyskutują o sztuce, literaturze, choć Marcin uważa, że jego mama jest ze świata wysublimowanej poezji, a on stara się ostrym językiem oddawać rzeczywistość: brzydką, wybrakowaną, niejasną. – Używam mowy wiązanej, mieszam ze sobą różne światy, miksuję je jak didżej i wypływam z siebie pokiereszowane, często wykolejone zdania. To jest mój język, ale on nie jest ani poezją, ani rynsztokowym bełkotem. Taki sposób tworzenia najlepiej mnie wyraża, to moja maska, za pomocą której kontaktuję się z ludźmi – wyznaje Pryt.

Część tekstów została zebrana i wydana w tomiku „Szpital Heleny Wolf” (2005) przez Lampę i Iskrę Bożą. To opowieści o ludziach ze zwichrowanymi życiorysami i psychiką. Autor od zawsze interesował się problemami związanymi z niedostosowaniem do panujących norm, dywagacjami nad tym, co jest zdrowe, a co już chore. Historie osób z zaburzeniami psychicznymi powróciły, gdy Marcin wraz z Kubą Wandachowiczem, Pawłem Cieślakiem i Robertem Tutą założyli grupę Tryp i wydali undergroundowy album „Kochanówka”. W dosadnych, poszarpanych składniowo zdaniach autor dotyka ludzkich lęków, paranoi, niezdrowych iluzji. Przypomina też o akcji „T4”, czyli przymusowej eutanazji chorych psychicznie ludzi w Łodzi w czasie II wojny światowej. „W tajemnicy przed senatorami posiadam blaszany barak, gdzie przechowuję pojęcia, które niby musnęły prawdę” – śpiewa Pryt w „Tajemnicy delfina” rozpoczynającej płytę.

Jednak autor nigdy nie nazwałby się poetą, broni się przed przyklejaniem łatek. Uważa, że jego piosenki mają większą moc, gdy są wykrzykiwane z emfazą, kipią od emocji. Nadal fascynuje się włoskim futuryzmem, zwłaszcza aerofuturyzmem, bo jest też wielkim fanem latania i lotnictwa. Podziwia futurystów za rewolucje językowe i odwagę tworzenia świata od nowa, ale jego teksty nie wywodzą się z Marinettiego, są raczej fabularne, często świadomie sentymentalne.

Inteligentny, odczytany, skromny, odnosi się do siebie z dystansem: – Pracuję w bibliotece, na szczęście jestem tylko magazynierem, który układa książki. Cenię tę pracę, bo daje mi poczucie bezpieczeństwa w niepewnej rzeczywistości. Książki, które chciałbym przeczytać, wystarczą na 200-300 lat. Teraz tygodniowo mogę przeczytać tylko jedną, ale pamiętam lata dzieciństwa, gdy czytałem 300 książek rocznie na wyścigi z moim bratem. Tęsknię do tych czasów, kiedy nie było Internetu i obowiązków. To uformowało moje podejście i wrażliwość na słowa – wspomina. – Książka, którą przeczytałem w wieku 11 lat, i która wywróciła mój świat do góry nogami to „Gargantua i Pantagruel” w tłumaczeniu Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Ojciec polecił mi „Próby” Montaigne’a i kiedy jest mi źle, wracam do wybranych fragmentów.

Marcin Pryt nie umie być obojętny wobec popsutego świata, mimo że dystansuje się od zaangażowania społecznego, a tym bardziej polityki. Jest współtwórcą nieformalnej fundacji Kosmopolitania, która gromadzi artystów i ludzi odważnie myślących. Wspólnie organizują w Łodzi różne wydarzenia kulturalne, m.in. koncerty wykłady, wystawy. – Wierzę w przedsiębiorczość, nieograniczoną inwencję i zapał ludzi. W oddolnych inicjatywach widzę olbrzymi potencjał. Natomiast lokalni urzędnicy i politycy powinni im pomagać, a nie przeszkadzać, ale często zapominają o tym, że w wyborach dostają mandat zaufania, co obliguje ich do ciężkiej pracy.

Justyna Muszyńska-Szkodzik